Opłacono ryczałtem.

Młody Krajoznawca Śląski

Nr. 15-16. ROK II.

659

Kościółek drewniany w Koszęcinie.
(do artykułu wewnątrz numeru.)

Cena pojedyńczego egz. 20 gr.

POLSKIE TOW. KRAJOZNAWCZE BIBLIOTEKA

Spis rzeczy.

1. Zwyczaje i wierzenia, związane ze świętami Bożego Narodzenia w okolicy Chorzowa . . . . Str. 1
2. Kościółek w Koszęcinie . . . . . „ 2
3. Z dawnych piosenek śląskich . . . . . „ 4
4. Ed i Aloń mają głos . . . . . „ 5
5. Ksiądz Norbert Bączek . . . . . „ 6
6. Legendy i podania ze Śląska opolskiego . . . „ 7
7. Z wędrówki wakacyjnej . . . . . „ 9
8. Stodoły ośmiokątne w okolicy Pszczyny . . „ 13
9 Praca w hucie Piłsudskiego dawniej a dziś . . „ 15
10. Sprawozdanie z kolonji Krajoznawczej w Jurgowie „ 16
11. Wycieczka do ruin zamku w Chudowie . . „ 19
12. Podwórzowi śpiewacy . . . . . „ 20
13. Śląsk a Polska . . . . . „ 23
14. Górnictwo Tarnogórskie w 15 wieku . . . „ 24

Wydawca: Koło Krajoznawcze Gimnazjum Klasycznego w Chorzowie
za redakcję odpowiedzialny: Dr. Jakubowski Józef
za komitet administracyjny: Morgała Norbert i Malcherczyk Wilhelm.
Odbito w Drukarni Poligraf w Świętochłowicach Bytomska 14.

MŁODY
Krajoznawca Śląski
Pisemko Zrzeszenia Szkolnych Kół Krajoznawczych Śląskich
Wychodzi co miesiąc.

NR. 15-16 GRUDZIEŃ 1935. ROK II.

Wszystkim swoim Współpracownikom, Czytelnikom, Prenumeratorom i Przyjaciołom przesyła Redakcja «Młodego Krajoznawcy Śląskiego» serdeczne życzenia

Wesołych Świąt i Szczęśliwego Nowego Roku.

Równocześnie zawiadamiamy, że z powodu feryj zimowych następny numer pisemka ukaże się 1. lutego 1936 roku. W zamian za to numerowi obecnemu nadajemy znacznie zwiększoną objętość.

KLAUZA JAN

Zwyczaje i wierzenia, związane ze świętami Bożego Narodzenia w okolicy Chorzowa.

Nadchodzą święta Bożego Narodzenia, a w związku z niemi aktualności nabiera wiele zwyczajów i wierzeń, które krążą wśród naszej ludności wiejskiej. Najwięcej tych wierzeń jest związanych z dniem wigilijnym, który to dzień jest może najbardziej tajemniczym w całym roku obrzędowym naszego ludu.

Już od samego rana starsi krzątają się koło gospodarstwa i przygotowują wszystko do wieczerzy wigilijnej. Dzieci zaś wyjątkowo grzecznie siedzą po kątach, by nie dostać batów, gdyż wierzą, że kto zostanie skarcony w dzień wigilijny, ten cały rok nie będzie miał spokoju. Na krótko przed wieczerzą gospodarz wychodzi przed dom i skrapia święconą wodą cztery strony świata, aby odpędzić przez to od domu złe duchy, a następnie daje psu chleb z czosnkiem, żeby był zły i wiernie strzegł gospodarstwa. Gospodyni tymczasem zajmuje się potrawami, które muszą być przygotowane z tegorocznych zbiorów. Następnie gospodarz z gospodynią oplatają stół słomą i kładą pod niego siekierę, by nikt z rodziny przez cały rok nie chorował na reumatyzm. Zaczyna się wigilja. Wszyscy łamią się opłatkiem, życząc sobie nawzajem wszelkiej pomyślności i wygłodzeni całodziennym postem, zabierają się żwawo do jedzenia. W czasie wieczerzy wigilijnej gospodarz wchodzi do obory i daje bydłu chleb z opłatkiem, oraz pewną część potraw ze stołu wigilijnego, wierzy się bowiem, że zwierzęta domowe w dzień wigilijny rozmawiają ze sobą ludzkim głosem i urządzają sobie także wigilję. Po skończonej wieczerzy cała rodzina wychodzi do ogrodu, zostawiając wszystkie niedojedzone potrawy na stole, by biedne duszyczki mogły się pożywić. W ogrodzie gospodarz wiąże słomą ze stołu wigilijnego drzewa, ażeby miały w przyszłym roku dużo owoców, oraz wolne były od szkodników. Z ogrodu wracają wszyscy znowu do domu. Panny schodzą się w kółko i każda z nich słucha, z której strony pies zaszczeka, bowiem stąd ma przyjść do niej narzeczony. Następnie biorą roztopiony ołów i leją go do zimnej wody, w której powstają z ołowiu różne fantastyczne figury. Kiedy panna zobaczy w wodzie wianuszek, to znaczy, że wyjdzie zamąż w tym roku, kiedy zaś widzi szablę dostanie za męża ułana itd. Na koniec gospodyni ustawia na stole świece, które wszyscy pokolei gaszą. Świecę musi każdy zdmuchnąć za pierszym razem, inaczej czeka go wielkie nieszczęście albo nawet śmierć.

W pierwsze święto Bożego Narodzenia gospodarz zbiera okruszyny z potraw, które pozostały po wieczerzy i rozrzuca je po ogrodzie. Z resztek tych wyrasta podobno roślina, zwaną na Śląsku „miętką". W drugim dniu święta Bożego Narodzenia ludność wiejska święci owies i obrzuca nim księdza na pamiątkę ukamieniowania św. Szczepana.

Takie to wierzenia krążą do dnia dzisiejszego wśród ludności dawnego Chorzowa.

ROCZNIOK JAN

Kościółek w Koszęcinie.

Jadąc pociągiem z Chorzowa do Lublińca zauważyć możemy wybitną zmianę krajobrazu. Aż do Tarnowskich Gór krajobraz ma charakter przemysłowy, a od Tarnowskich Gór zaczyna się krajobraz leśny. Na kilkanaście km. przed Lublińcem, wyglądając z okna pociągu, widzimy,

że przy samym torze kolejowym stoi drewniany kościołek. Stoi on wśród lip tuż koło lasu, który się styka wprost z jego ogrodzeniem, tworząc piękny naprawdę widok, to też każdy, kto tylko ujrzał go z okna pociągu, pragnie go bliżej poznać. Wkrótce słyszymy zgrzyt hamulców, pociąg się zatrzymuje a do uszu naszych dochodzi głos konduktora: . . .Koszęcin . . .wysiadać!

Wysiadamy. Oglądamy wioskę. Jest ona bardzo ładną i czystą. Oprócz wyżej wymienionego drewnianego kościółka jest w niej jeszcze drugi kościołek, ale murowany, oraz zamek książęcy księcia von Hohenlohe. Przy zamku, który otoczony jest dużym parkiem znajduje się kościół ewangelicki. Idę do drewnianego Kościołka. Już przy wejściu rzuca nam się w oczy wielki ołtarz. Ołtarz ten jest cały wykonany z drzewa. Górną jego część stanowi obraz, wykonany na drzewie, a przedstawiający Trójcę św. Przy ołtarzu głównym stoi zaraz obok ołtarz boczny, który właściwie też składa się z jednego obrazu. Na tym ołtarzu widnieje malowidło, które przedstawia Oko Boże. Ołtarz boczny, jak się dowiedziałem, jest starszy od ołtarza głównego, gdyż pochodzi on z dawnego, starszego od obecnego kościółka, który się spalił. Wraz z dawnym kościółkiem spłonął i wielki ołtarz, uratować zdołano tylko ołtarz boczny, który następnie wstawiono do odbudowanego kościółka. Rozglądnąwszy się po kościele, widzimy na ścianach jeszcze różne inne obrazy świętych, stacje krzyżowe, a oprócz tego gablotki, a w jednej z nich kleszcze raka o dużych rozmiarach, zaś w drugiej gablotce mieszczone są stare lejce. Te przedmioty w kościele bardzo mnie zdziwiły i długo łamałem sobie głowę nad rozwiązaniem tej zagadki.

W kościele ławek niema z wyjątkiem tylko dwu przy ołtarzu, oddzielającym prezbiterjum od nawy głównej. Nad głównym wejściem znajduje się chór, na którym jednak niema organów, a tylko bardzo stare harmonjum.

Tak wygląda kościółek wewnątrz. Nazewnątrz kościółek, jak już powiedziałem robi bardzo miłe wrażenie. Piękna jest zwłaszcza dzwonnica, przybudowana do kościoła. Przy kościele jast mała kapliczka, a w tej kapliczce studnia i obraz Dzieciątka Jezus. Woda z tej studni uważana jest za świętą i używana jest jako lekarstwo. Taki byłby opis całego kościółka.

Nie dały mi jednak spokoju gabloty we wnętrzu kościółka. Po radę poszedłem do kościelnego, który mieszka zaraz przy kościółku. I dopiero on mi opowiedział legendę, związaną z temi przedmiotami. Opowiedział mi, że wzgórze, które się wznosi tuż przy kościółku nazywało się Żydowiną, a to dlatego, że było ono własnością jakiegoś żyda. Grunt ten został następnie od owego żyda odkupiony dla wybudowania na nim kościoła. Kościółek miał być zbudowany z drzewa, bo ten materjał był pod ręką i najtańszy. Dlatego też zaczęto ścinać drzewa, obrabiać je i zwozić na wzgórze. Bardzo wielkie było zdziwienie, kiedy robotnicy przybyli na drugi dzień do pracy i zauważyli, że drzewo, przywiezione wczoraj na to miejsce, gdzie teraz stoi kościółek. Robotnicy myśleli, że ktoś im na złość zrobił, więc przenieśli materjał z powrotem na dawne miejsce i nawieźli go jeszcze więcej. Tem większe było ich zdziwienie nazajutrz, kiedy znowu cały materjał, znalazł się na dole. Wnieśli więc jeszcze raz do góry, ale tym razem postanowili wykryć, kto im to drzewo ściąga na dół. Zaczajeni w nocy zauważyli, jak olbrzymi rak ściągał belki na dół. Postanowili go więc

zabić, ale zdołali mu tylko odtrącić kleszcze, właśnie te, które znajdują się obecnie w kościele w gablotce. Rak jednak mimo tego uciekł.

Następnego dnia znowu zaczęli zwozić drzewo i to trwało aż do południa. Kiedy nastąpiła pora obiadowa, furman, zwożący drzewo, puścił konie na łąkę, sam układł się pod drzewem i zasnął. Po pewnym czasie, przebudziwszy się, nie zauważył swoich koni, lecz ujrzał tam tylko kilka dzieci bawiących się. Zapytał więc owych dzieci, czy nie widzieli gdzieś koni. Na to wystąpiło jedno z nich i rzekło, że ono powie mu, gdzie się znajdują jego konie, ale pod tym warunkiem, że nie będzie już więcej zwoził drzewa na wzgórze i że kościółek stanie na tej łące, bo taka jest wola ojca jego. Parobek, chcąc odzyskać konie zaprzysiągł na ten warunek, a wtedy ów mały chłopczyk pobiegł do lasu. Po chwili przybył z końmi, ale wielkie było zdziwienie parobka, gdy zauważył, że konie są ślepe. Chłopczyk wtedy nakazał mu, ażeby wziął wodę z źródełka, które wypływało na łączce i potarł nią oczy koni. Parobek wykonał polecenie i konie przyjrzały. Chłopiec nagle znikł. Parobek pojechał do proboszcza i opowiedział mu wszystko, proboszcz usłyszawszy to był zdania, że mały chłopiec nie był kim innym tylko Panem Jezusem, więc widocznie taka jest wola Boża, i dlatego powinno się jej stać zadość. To też materjał zaczęto teraz zwozić na łąkę i tam wybudowano kościół. A kiedy ten spłonął, uratowano z niego tylko ten boczny ołtarz, zaś na miejscu dawnego kościołka postawiono nowy, który stoi do dnia dzisiejszego, a ma już obecnie przeszło 350 lat.

GRZEGANEK EDMUND.

Z dawnych piosenek śląskich

Zachęcony apelem „Młodego Krajoznawcy Śląskiego", zrobiłem „wywiad" z ojcem, który już ósmy krzyżyk na swoich barkach dźwiga i wiele z dawniejszych śląskich wyczajów pamięta. Przytaczam więc ezultat tego wywiadu w postaci rdwu starych piosenek, śpiewanych na Śląsku przed kilku dziesiątkami lat.

Tyn ziemieński kościołecek,
ho, ho, ho, kościołecek,
na wysoki górce stoji. (bis)

Jakech jo szoł kole niego,
ho, ho, ho, kole niego,
wyglondały panny z niego. (bis)

Piyrwszo wyszła cało czorno,
ho, ho, ho, cało czorno,
Tyś mi, dziołcha, nie podobno. (bis)

Drugo wyszła trocha bielszo,
ho, ho, ho, trocha bielszo,
Tyś mi, dziołcho, podobniejszo.

Trzecio wyszła cało bioło,
ho, ho, ho, cało bioło,
Tyś jest, panno, moja miło. (bis)

II.

Jo uboga sirota, sama jedyna.
Zmarli mi łojcowie, łoba dwa,
Coch jo jich mioł spomogać,
Konska chleba zarobiać. [wojować.
Wzienli mie na wojenka, musza
Dali mi koniczka czarno-bronego,
Cobych sie móg siednonć śmiało na
Moj koniczek trzensie sie, [niego.
Wiym, iż mie na śmierć niysie.
Tam na ratuszu tambory bijom,
Unteroficyry egzercyrujom,
Szabliczki sie błyskajom,
Głowy na dół spadajom,
A nasze kochanki ło nos płakajom.

KOZIOŁ EWALD.

Ed i Aloń mają głos!

Wiysz Ed. wczora, jakzech był u moji ciotki, toch ci słyszoł jak tam w radju, jakieś tam Tońki i Szczepki fajniście śpiwali, no i wiysz, godom ci, choć to było fajn aże fajn, to jednak mi się tak jakoś miersko na sumieniu zrobiło. — Ależ Alońku, przeca godosz, że śpiewali fajn, a zarozki, że ci się miersko zrobiło. — Przeca ty mosz śpiwki rod. — Rod to je tam mom, ale widzisz Ed mnie sie w głowie pomieścić nie może, pojakiemu jedni mogom ze Lwowa śpiwać swoje śpiwki, co je kożdy może słyszeć, nie eno sam u nos w Polsce, ale i na cołkim świecie, a drugi, choć je je tyż mo gryfne, może se śpiwać nojwyżej u starki za piecem. Przeca u nos sam tyż momy śpiwki, jak sie patrzy — no nie? — A kaj je to mosz śpiwać? — na drodze nie, bo cie ten z tym rabarbrem zawrze na tydzień do cienia, a na weselach śpiwają tylko jakieś tam tanga abisyńskie czy walce asfaltowe

To prowda — ale jo se myśla, że jednak by sie dało z temi śpiwkami coś zrobić, coby je no wiesz, rozłonaczyć po całym świecie. Jo — a co takiego? — Przeca ty nie mosz radjostacyji. Tego tam nie mom, alech czytoł niedowno artykuł w „Młodym Krajoznawcy Śląskim", że kożdy wto mo jakie stare śpiwki, czy z weselo czy ze pogrzebu mo je przysłać, abo je osobiście w redkcyji zaśpiwać, a jak bydom niesfałszowane, to je redakcyjo łopublikuje. Ed, uwińmy sie, cobyśmy byli pierwsi, a po drodze nakręca moja gitara, cobych jakiejś śpiewki nie sfałszował.

Aloń! — pieronie jeden! -- kaj to sie tak uwijosz? — Przeca noprzód muszymy próba zrobić, cy nom to klapnie, bo inacej nos z redakcyji wyciepnom.

Ty mosz prawie, Ed — cołkiem bych był ło tem zapomnioł. No toż dej jeno gitara, to se cosik wroz zaśpiwomy tak pieronem, aż na dole u Widerczyny szyba pęknie.

No toż ło tym bergmonie . . . roz . . . dwa . . . trzy:

U berkmana w doma
Jest fajnisto żona,
Do klachów jest sporo,
Do roboty choro.
Hojra ta-ra-ra hojra ho.

No widzis, jak idzie, jyno tak nie targej tej gitary, boś ty nie Musolin, a twoja gitara nie Abisynjo. A terozki drugo zwrotka:

Dzieci łoptarganych
Jest cało gromada,
A zaś bergmanowa,
Na klachach wysiada.
Hojra ta-ra-ra, hojra ho.

Aloń. Mie sie zdo, że takich śpiwek, to możno nie przyjmą. Pójdź, zaśpiwomy coś fajniejszygo, naprzykłod to co Pytliczka śpiwała na franckowym weselu.

Aha! Już wiem, coś wesołego na żałość, a pobożnego, ło dziołchach. No, toż:

Nie dbom, nie dbom,
Czy ty mnie miłujesz,
Nie dbom, nie dbom,
Czy ty mnie chcesz.
Pójdę na ulicę,
złapię małupicę,
taką, taką,
jakżeś ty jest.

To przeca nie to, co jo chca. — Weś tam jyno ło tym Adamie!

Terozki wiem! Toż zaczynej... Gdy Adam w raju łaził w samotności,
Jesce nie wiedzioł o żodnej miłości,
Wtenczas mu Pon Bog z ziebra Ewa stworzył,

By som nie łaził, przy boku jom
położył.
Wtenczas Adam łobchodził wesele,
Bo sie radowoł w swojem własnem
ciele.
Widzisz, Aloń. To jest coś innego. — Ale śpiwomy dali:
Łod tego czasu za przykładem jego,
żeni sie kożdy wedle smaku swego,
Jeden z nadobną, drugi zaś z bogatą,
Trzeci ze starą, a czworty z puklatą.
Wtenczas i Adam itd.
A terozki:
Dziewczyno, szatanie.
Kto ciebie dostanie,
Czy pon, czy pisorz,
Czy jaki komisorz,
Czy wolorz, czy smolorz,
Czy jaki charbolorz.

Pieronie, ale my sie naśpiwali, że mi aż wargi spuchły. — Ale patrz, Ed. Aleśmy musieli głośno śpiwać, kiej som sam pod łoknem tela ludzi stoi i słucho.

Widzisz, to nic — ale dej sie jeno pozór wiela ich bydzie słuchało, jak i.n bydymy śpiewac w „Młodym Krajoznawcy". Ale teroz pójdźmy do redakcyji, jeno nie zapomnij po drodze schodów porachować, bo, abo nas przyjmą z naszemi śpiewkami, że łod pychy nie bydymy na schody spoglądać, abo nom je kożom rachować w rekordowem tempie.

ZOFJA CEGLARKÓWNA,
Miejskie Gimn. Żeńskie, Chorzów

Ksiądz Norbert Bączek

W tym roku byłam w dniu Wszystkich Świętych na cmentarzu w Bytomiu. Wstąpiłam do kaplicy cmentarnej i tu zobaczyłam grób księdza Bączka, a to dodało mi zachęty, do zapoznania czytelników „Młodego Krajoznawcy" z życiorysem tego zasłużonego Polaka i kapłana.

Ks. Norbert Bączek urodził się 6. czerwca 1837 r. w Miechowicach pod Bytomiem, jako syn urzędnika kopalnianego Walentego Bączeka i jego żony Hanki z Łukaszczyków. Tyfus głodowy zabija mu matkę i dwie siostry. Ponieważ chłopak już od młodych lat okazywał zamiłowanie do nauki, przeto ojciec posłał go do pewnego nauczyciela w Bytomiu, który uczy go łaciny i niemieckiego. W roku 1858 zdał młody Norbert egzamin dojrzałości w Gliwicach. Nastąpiły 4 lata studjów akademickich we Wrocławiu, gdzie obok teologji studjuje Bączek języki słowiańskie. Gruntowna znajomość języka polskiego sprawiła to, że rozkochał się w literaturze polskiej i zaczął pisać polskie wiersze. Dnia 4 lipca 1862 r. otrzymuje święcenia kapłańskie i zostaje kapelanem w Piekarach. W lutym r. 1865 zostaje Ks. Bączek przeniesiony do Bytomia, gdzie dokończy pracowitego żywota, jako proboszcz. Bytom więc jest terenem jego pracy nietylko kościelnej, ale narodowej i pisarskiej. W gazecie, którą założył w r. 1868 w Piekarach Ks. Purkop, a która nosiła nazwę „Zwiastun Górnosląski" umieszcza Ks. Bączek swoje wiersze i rozprawy. Ogłasza też gorącą odezwę do nauczycieli górnośląskich, wzywając ich do pilnowania czystości mowy wykładowej, ażeby młodzież nauczyć pięknego wysławiania się językiem polskim. Poleca im nawet

Ks. Bączek książki, które powinni czytać, ażeby opanowali doskonale prawidła mowy polskiej.

W r. 1871 zakłada Ks. Bączek dla młodzieży „Związek Św. Alojzego“, pierwszy polski katolicki związek młodzieży i sam dla niego układa statut. Dla sztandaru „Związku Św Alojzego ułożył taki napis:

Ty młodzieży wznoś sztandary,
Broń języka, broń swej wiary,
Kto te ojców skarby podli,
Darmo się do Boga modli.

KS. BĄCZEK

Związek ten był kuźnią polskości, gdyż w nim oprócz religijności, wpajano młodzieży miłość prastarej ziemi śląskiej i uczono młodzież pięknego władania językiem polskim. Drugim związkiem, któremu Ks. Bączek wiele starań i sił poświęcił był „Związek wzajemnej Pomocy“, organizacja zawodowa robotników.

Niemcy widząc w tych związkach zgubę dla siebie działalność, rozwiązali je zaraz po śmierci Ks. Bączka. Przyczynił się do tego w znacznej mierze Ks. Kardynał Kopp, wróg każdego ruchu polskiego.

Ojcom naszym jest znany Ks. Bączek ze swej literackiej działalności, oraz wydawania szeregu pism, religijnych, które bądź co bądz szerzyły na Śląsku znajomość polskiego drukowanego słowa. Nadto tłumaczył Katechizm Deharbego i dziełko Bolandena „Stary Bóg żyje”, za którą to książkę skazany został w okresie „Kulturkampfu” na 3 miesiące więzienia. Pisał prócz tego wiersze okolicznościowe, które są wydane w książce pod tytułem: Chwasty z własnej zagrody”.

Największe jednak znaczenie ma Ks. Bączek jako poeta śląskiej swojszczyzny. Widzi on w tej ziemi śląskiej tyle piękna, że poświęca jej opisowi dwa utwory epiczne, mianowicie: „Stary kościoł Miechowski” i „Góra Chełmska“. Trzeci jego utwór zniknął bez śladu, a miał on posiadać dużą wartość.

Poezje i pisma Ks. Bączka zasługują na to, ażebyśmy się z niemi zapoznali. Cichą i niereklamującą się była praca tego szermierza polskości. Poznajmy go i pokochajmy, a jako młode pokolenie śląskie idźmy jasnymi torami, które nam wskazują najlepsi synowie Śląska i Polski.

Ks. Bączek zmarł w Bytomiu w r. 1893. Spoczywa, jak zaznaczyłam na wstępie, w kaplicy cmentarnej na bytomskim cmentarzu.

ZMARZŁY PAWEŁ.

Legendy i podania ze Śląska opolskiego.

Wiadomo każdemu, że Śląsk Opolski zamieszkały jest jeżeli chodzi o wieś, przez ludność mówiąca niemal w 100% po polsku. Chociaż już dziś nie wszyscy przyznawają się do polskości, to jednak mowa

Polskie Towarzystwo Turystyczne Krakowskie

i obyczaje zdradzają ich pochodzenie. Starsi mieszkańcy wsi wcale, albo tylko niezbyt poprawnie, władają językiem niemieckim. Podczas wakacyj miałem sposobność pomówić z pewnym 84 lat liczącym mieszkańcem mojej rodzinnej wioski Wójtowej Wsi. Ten opowiedział mi kilka legend i opowieści śląskich z Wójtowej Wsi pod Opolem Podaję parę z tych legend, w które ów starzec wierzy jak w dogmaty religijne, jakkolwiek dzisiaj nie mają one może żadnego uzasadnienia.

Jak powstała nazwa miasta Opola?

Tam, gdzie dziś znajduję się miasto Opole, tam przed laty były wielkie lasy Dębowe, które ciągły się wzdłuż Odry. W lasach tych żyło dużo dzikich świń, wilków i innych dzikich zwierząt. Rzadko tylko w tych okolicach spotykano człowieka. W niektórych tylko miejscach kryły te lasy chaty osadników słowiańskich. Osadnicy ci mieszkali w drewniany chatach a zajmowali się hodowlą bydła. (Wykazały to też wykopaliska na dawnym zamku piastowskim w Opolu (1930r.), gdzie znaleziono właśnie takie chaty drewniane i różne narzędzia pasterskie). Pewnego razu wybrał się jeden z wymienionych osadników-pasterzy, ażeby wyszukać dla siebie i współbraci nowe pastwiska. Długo szukał po gęstym, liściastym lesie daremnie, aż w końcu zbłądził i nie mógł się wydostać z bezgranicznego morza zieleni. Po długiem błądzeniu ujrzał nareszcie pośród gęstego lasu gołe pola. Gdy doszedł do tego pola z radości zaczął, tak jak znany nam Odyseusz, gdy się wydostał z marza na ląd, całować ziemię i zawołał radośnie „o pole". Od tego okrzyku na tem miejscu powstała niebawem siedziba otrzymała nazwę Opola, z której w biegu lat powstało wielkie dziś miasto Opole. Taka więc jest historja nazwy miasta Opola.

Wichura.

Przed bardzo wielu latami żyła w pewnej wiosce pod Opolem dumna dziewczyna, która postanowiła mieć tyle koszul co księżna na zamku opolskim. Dziewczynie tej było na imię Meluzyna. Zakupiwszy płótna rozpoczęła szyć i pracowała przez dnie i noce, tak w dnie powszednie jak i w niedziele i święta. I wtedy, kiedy ludzie zdążyli do kościoła na nabożeństwo, ona z igłą w ręce siedząc przy oknie szyła zawzięcie koszule, nie zważając na uwagi ludzi. Matka zwracała jej uwagę, że gwałci dzień świąteczny, że dopuszcza się ciężkiego grzechu i, że Bóg ją za to ukarze. Meluzyna śmiała się z napomień matki i mówiła, że wówczas będzie świętować, aż setną koszulę uszyje. Po pewnym czasie praca jej dobiegała do końca i Meluzyna wykańczała właśnie ostatnią koszulę, a było to podczas sumy w niedzielę, gdy nagle powstał okropny wicher, wpadł przez okno do mieszkania Meluzyny, wyrwał jej koszulę z rąk i podarł na strzępy. Rozłoszczona Meluzyna poczęła krzyczeć i kląć. W tem usłyszała głos idący z wichru: „Będziesz tak długo szyć, aż uszyjesz setną koszulę." Zgniewana Meluzyna rozpoczęła szycie nowej koszuli, ale gdy ta była gotowa wpadł znowu wicher i porwał ją w kawałki, wyjąc przytem i świszcząc tak przeraźliwie, że w całej wsi słychać go było. Powtarzało się to zawsze, ile razy setna koszula była gotowa. Gdy zrywał się wicher, to ludzie we wsi mówili: „Słyszycie jak Meluzyna wyje i jęczy". Tę historję jeszcze dziś można usłyszeć na wsiach.

Św. Piotr a djabeł na Śląsku.

Było to w czasach, gdy św. Piotr chodził po świecie. W czasie swej wędrówki zawadził i o Śląsk i spotkał pewnego dnia w okolicach Opola djabła. Złyduch prosił św. Piotra, by mu pozwolił iść ze sobą, na co się św. Piotr zgodził. Wędrowali więc przez lasy grudzickie od świtu do

nocy. Po wyjściu z lasów dotarli późno pod wieczór do wsi Dębie (Dembio), gdzie droga rozchodziła się na dwie strony. Z jednej strony, od Suchego Boru słychać było płacz dziecka, zaś z drugiej strony od Grudzic dochodziły dźwięki muzyki. Św. Piotr zapytał djabła, w którą stronę woli iść, czy w stronę płaczu, czy też muzyki. Djabeł odpowiedział, że woli iść w stronę muzyki. Poszli więc w tym kierunku i wkrótce natrafili na gospodę pełną ludzi, gdzie grano i tańczono. Po wejściu do izby dowiedzieli się, że ludność obchodzi uroczystość poświęcenia kościoła i z tego powodu cieszy się przy muzyce. Zmęczeni podróżą całodzienną, ułożyli się do snu na olbrzymim piecu, znajdującym się w izbie, gdzie tańczono. Djabeł ciekawy zabawy położył się na kraju, a św. Piotr od ściany. Św. Piotr wyjął różaniec i zaczął się modlić, djabeł zaś przemyśliwał nad tem, jakby tańczących doprowadzić do grzechu. Nie czekał długo, gdyż po krótkim czasie powstała między tańczącymi bójka. Djabeł ucieszył się z tego i wołał: „Dobrze robicie"! Usłyszał to jeden z tańczących, który nie brał udziału w walce, skoczył do djabła i sprał go kijem, ile tylko wlazło. Pobity djabeł zmienił teraz swoje legowisko i położył się przy ścianie. Ale i na tem miejscu nie przestał podjudzać. Wreszcie spostrzegli się wszyscy i rzucili się na djabła, uznając go za burzyciela, ale wtedy powstała wielka burza, która obaliła całą gospodę, przyczem dużo ludzi zostało zebitych. Po św. Piotrze i djable nie było śladu, a tylko po krótkim czasie ludzie widywali na tem miejscu duchy zabitych. Jeden widział, gdy koło tego miejsca przechodził, chłopa bez głowy, inny zaś psa, któremu z pyska buchał ogień, itd. Według opowiadań ludzi we wsi, były to dusze owych zabitych, które muszą pokutować za swoje grzechy. Ażeby ulżyć tym duszom, została zbudowana na tem miejscu kaplica, gdzie w dzień zaduszny do dzisiejszych czasów jeszcze się odprawia nabożeństwo.

MORGAŁA PAWEŁ.

Z wędrówki wakacyjnej.

Ciąg dalszy.

Następnego dnia obudził mnie dosyć wcześnie ryk przeciągającego na pastwisko stada krów. Zerwałem się z posłania, na którem się lepiej spało, jak na materacowem łóżku i zadowolony, że nie byłem niepokojony nocnemi gośćmi w postaciu czworonożnych przybyszów, pospieszyłem do domku.

Gospodarz już dawno wstał i już od rana krzątał się koło swoich butów, gdy tymczasem gospodyni przygotowywała śniadanie. Nagle gdzieś w dali zadrgało echo porannego dzwonka kościelnego. Uroczy melodyjny głos drgał w powietrzu, oznajmiając wszystkim, że już dzień się zaczął.

— Gdzie to dzwonią — zapytałem zaciekawiony.

— W kościele dzwonią panie, odezwała się pierwsza gospodyni. Przecież pan koło niego przechodził.

Jeszcze bardziej zadziwiła mnie ta odpowiedź. Mogłem przysiądz, że wczoraj żadnego kościoła nie widziałem i zawsze zdawało mi się, że ludzie tej wsi muszą chodzić na nabożeństwo do kościoła klasztornego

w Czernej.

— A gdzie to ten kościół się znajduje? — pytałem dalej ukrywając wstyd, który występował mi na twarzy.

— Tam koło drogi — objaśniła, — gdzie pan przechodził. Naprzeciw szkoły.

Znów o jakiejś szkole mi prawi, pomyślałem zrozpaczony. Widziałem wprawdzie jakiś czerwony gmach, w oknach którego dostrzegłem, jakieś rozbawione twarze kobiece, lecz kościoła naprawdę niespostrzegłem.

Ciekawość moja potęgowała się gwałtownie. A może znajdę tam coś ciekawego, jeśli naprawdę kościół tam się znajduje, pomyślałem.

Wolno, już nie tak jak wczoraj, schodziłem do drogi. Dziś jednak musiałem pójść w inną stronę, bo kościół leżał w przeciwnym kierunku. I rzeczywiście opodal owej szkoły w oparkanieniu wysokich liściastych drzew ukrywało się coś, co zdala wyglądało na szopę i tylko czerwona mała wieżyczka, które odbijała się od zielonego tła drzew, wskazywała, że to jednak jest dom Boży.

Zbliżałem się coraz bardziej. Już wyraźnie słyszałem basowy głos, jakiegoś człowieka, który przy akompaniamencie organów nabożnie wyśpiewywał:

Przybądź nam, miłościwa Pani,
ku pomocy,
A wyrwij nas z potężnych
nieprzyjaciół mocy.

a drugi mniej wyraźny odpowiadał:

Chwała Ojcu i Synowi Jego
przedwiecznemu,
I równemi Im w Bóstwie
Duchowi Świętemu.

Ten śpiew w ubożuchnym kościółku wiejskim budził we mnie dziwny nastrój, przenosząc mnie, jakby w dawne wieki początków chrześcijaństwa w Polsce.

Ruszyłem w stonę kościółka. Niewielka żelazna brama wpuściła mnie na dziedziniec kościelny. Przedemną, jak zgrzybiały staruszek, stał malutki drewniany kościółek mający kształt prostopadłościanu, zniekształconego tylko przybudówkami. Cały ów drewniany budynek spoczywał na kamiennej podbudówce, Kamienny parkan odgradzał plac kościelny od drogi, a na nim tkwiły wmurowane tablice marmurowe z datami takiemi jak 1863, 1864, 1867r. Zaraz przy wejściu wita nas masywny żelazny krzyż. Dach kościółka jest pokryty zielonemi od mchu, drewnianemi gontami, W środku dachu wznosi się cała czerwona, barokowa sygnaturka. Niewysoka wieża, u stóp której znajdują się małe drzwi, zamykają cały zewnętrzny opis kościółka.

Mając pewność, że w kościele nie odprawia się w tej chwili żadne nabożeństwo, wszedłem.

Znalazłem się w kruchcie, jakby w niewielkim przedsionku, który robił wrażenie wysokiej izby, w której na przeciwległej ścianie znajdowały się jeszcze jedne drzwi, prowadzące do wnętrza świątyni. Usiadłem na pierwszej z brzegu ławce w kruchcie i czekałem, aż śpiew w kościele się skończy. Mimowoli, począłem wodzić oczyma po nierówno zestawionych deskach ścian bocznych, przez które gdzieniegdzie przedzierały się smugi słonecznego światła. Na białych ścianach, oznaczonych szaremi pręgami zaciekających deszczów, zobaczyłem coś, co wprowadziło mnie w zdumienie. Przecież to nie kościół, lecz jakieś muzeum krajoznawcze.

Na zmurszałych już ścianach kruchty wisiały nieco zniszczone obrazy świętych pańskich. Nieco niżej na białych podstawkach opierały się statuy jakichś świętych, zakonników i biskupów, które swojemi zmurszałemi twarzami posępnie i groźnie na mnie patrzyły, jakby się oburzały, że zakradłem się

do ich samktuarjum i mącę im ich spokój. Wyglądały te figury na zwykłe statuy z gipsu, jednak po bliższem zapoznaniu się z niemi, okazało się, że to rzeźby w drzewie. Dookoła ścian opierały się ławki wytarte już, przez wielu przybywających do tego kościółka. Środek był wolny i tylko na uboczu stały figury na noszach, które i u nas często mamy możność oglądać, gdy pobożne matrony śląskie podążają do miejsc odpustowych. Kamienna podłoga popękana już w wielu miejscach zamykała cały mozaikowy obraz przedsionka kościoła.

Do samego kościoła schodziło się po schodkach, które były odgrodzone kutemi drzwiami, które bardzo rzadko są otwarte. Po prawej stronie przed drzwiami, wsparty o kamienny podnóżek, wznosi się rodzaj kielicha znacznych rozmiarów, który zastępuje nasze małe kamienne kropielniczki. Po drugiej stronie, wsparte o zbutwiałe ściany, opierają się wypłowiałe od słońca chorągwie kościelne o kolorach trudnym do określenia.

Śpiew jeszcze nie umilkł, a ja, niechcąc już dłużej czekać, wszedłem do środka i ulokowałem się w jakiejś ławce, która stała opodal drzwi. Wsłuchiwałem się w piękny głos organów, wodząc jednocześnie oczami po wnętrzu kościoła. Ciągle znajdywałem coś nowego, ciekawszego od poprzedniego, tak, że naprawdę jeszcze dziś trudno mi opisywać to wnętrze. Przedemną stał główny ołtarz kościoła, który swemi skrzydłami dotykał bocznych jego ścian. W środku w otoczeniu dwu olejnych obrazów, które, jak się później z ust organisty dowiedziałem, są pododobiznami św. Barbary i św. Katarzyny, a pochodzą z XV. wieku z jakiegoś polowego ołtarza, wisiał obraz Matki Boskiej, mający słynąć cudami. Po prawej stronie ciągnęły się wzdłuż ściany bocznej rzeźbione ławki, coś w rodzaju stalli, znajdujących się w kościele marjackim w Krakowie, z tą tylko różnicą, że nie takie piękne i gustowne. Naprzeciw wsparta o daszek konfesjonału wznosi się kazalnica, pod którą widniały czarne drzwi, prowadzące do zakrystji.

Prezbiterjum nie jest niczem oddzielone od reszty kościoła i tylko łuk mówi nam, że to jest ta właśnie część kościoła. Wskazuje na to i krzyż przyczepiony do sufitu.

Po lewej stronie nawy głównej stoją dwa ołtarze, jeden renesansowy a drugi barokowy, wykonane w całości z drzewa. Przy przeciwnej ścianie mieści się jeszcze jeden ołtarz i jakieś tajemnicze drzwi, które prowadzą do nieużywanej dziś przybudówki. Koło tych drzwi, stoi sporządzona z bronzu, przymknięta mosiężną koroną, kropielnica. W kątach pod chórem stoją rzędy niewielkich ławek, dotykające belkowania kościoła.

Przez małe, zakratowane żelaznemi sztabkami, okienka, wpadają do wnętrza postrzępione wstęgi żółtego światła, rzucając na olejne farby pomalowanych ścian tęczowe odcienia.

Przed głównym ołtarzem paliły się dwie woskowe świece, tkwiące w świecących lichtarzach, potrzymywanych przez dwóch stojących w bieli aniołów. Zapach zaś palącego się wosku i woń polnych kwiatów i czerwonych dzikich róż unoszący się w powietrzu nastrajał człowieka podniośle.

Śpiew umilkł. Dolatywał mnie jeszcze tylko cichy szept modlitwy, który jednak po chwili zamilkł. Zapanowało święte milczenie i tylko szelest liści z pobliskich drzew mącił ową tajemniczą ciszę.

Nagle coś zadudniło za mną. Usłyszałem ciężkie odgłosy schodzących kroków i już po chwili zjawił

się przedemną w całej swej okazałości organista tego kościółka. Popatrzył przez chwilę na mnie i już chciał odejść lecz ruch mojej osoby powstrzymał go.

—Pan zdaje się jest organistą tego kościoła — zagadnąłem, choć dobrze wiedziałem, że nikt inny jak tylko ten człowiek grał przed chwilą na organach, które naprawdę nie wiele różniły się rozmiarami od dużych odpustowych katarynek spotykanych na naszych wiejskich odpustach.

— Tak — odparł poważnie, patrząc bądawczo na mnie.

— Jestem krajznawcą, ciekaw jestem przeszłości tego kościółka, może pan będzie łaskaw opowiedzieć mi coś o nim — ciągnąłem dalej.

Na moje pytanie uśmiechnął się twierdząco i pewnym siebie głosem rozpoczął:

Kościół ten został zbudowany między rokiem 1326 a 1342 za Kazimierza Wielkiego. Aktu erekcyjnego tego kościółka nie posiadamy już, bo dawno już zaginął. Twierdzenia nasze opierają się jednak na wyciągach z ksiąg innych, w których jest zapisane, że w tych czasach, kościół ten płacił już świętopietrze. Zbudował go najprawdopodobniej rycerz Paczółt, dawny właściciel tej wsi. Później, gdy kościół ten uległ częściowemu zniszczeniu odbudował go własnym kosztem jakiś kamieniarz.

Następnie począł mi objaśniać rzeczy znajdujące się w kościele, które zresztą już przedtem sam zdążyłem oglądnąć. Nie zraziłem się tem i nienudziłem się jego opowiadaniami, bo przynajmniej mogłem się upewnić, czy dobrze wszystko określiłem. Wreszcie doszliśmy do głównego ołtarza.

— W ołtarzu znajduje się obraz Matki Boskiej Nawiedzenia — ciągnął dalej — z tym obrazem, jak z każdym cudownym obrazem jest związana legenda. Pewna pani w Pisarach pragnęła mieć ten obraz, który podobno pochodzi aż z Konstantynopola. Gdy karawana z owym obrazem, znalazła się na wzgórzu, gdzie nasz kościółek stoi, cztery pary koni nie mogło wozu ruszyć. Tej samej nocy także fundamenta, które już murowano w innem miejscu same przeszły na to miejsce. Zbudowano więc tutaj kościół i od tego czasu obraz ten jest uważany za słynący cudami. Na potwierdzenie tego opowiedział mi jeszcze, że podczas wojny światowej, gdy Moskale gradem pocisków zasypywali okoliczne wsi, lud nie opuścił tego miejsca choć kazano wieś ewakuować, a sołtys odpowiedział żołnierzom austrjackim Najświętrza Panienka nas obroni. I rzeczywiście ani jeden pocisk nie padł na Paczułtowice. Lud jest święcie przekonany, że w tem kryje się niewidzialna opieka Matki Bożej. Nawet ja sam, ciągnął dalej organista, spoglądając na ciemną sylwetkę obrazu, gdy jest mi bardzo ciężko modlę się do Najświętszej Panienki i zawsze jest mi później lżej na sercu i zawsze znajduję pociechę.

Na potwierdzenie tego, że to naprawdę jest cudowny obraz, wyjaśnił mi, że nie udaje się go sfotografować. Nie jest to jednak mojem zdaniem żaden cud, lecz zwykły przypadek. W kościele jest dość ciemno, obraz jest otoczony srebrną ramą, a sama podobizna, która przylega do ciemno-czerwonego tła jest też dosyć ciemna. Kto fotografuje łatwo wytłumaczy sobie na czem polega to niezwykłe cudowne zjawisko. Lud jednak okoliczny ufa i wierzy w cudowną moc tego obrazu i nie da się niczem przekonać i uważałby napewno, że to świętokradztwo, gdyby ktoś ośmielił się sfotografować uwielbiany obraz.

Kościół w Paczułtowicach należy do Karmelitów z Czernej, który

są kuratorami kościółka, na podstawie darowizny, hrabiny Firlejowej.

Gdy organista skończył swe ciekawe opowiadanie, zaprowadził mnie do zakrystji. Pokazywał mi ornaty, pamiętające stare dzieje wsi, szereg proboszczów i całe pokolenia ludzi. Wydobył nawet mszał z XV. wieku i wiele innych ksiąg z tego czasu. Szkoda tylko, że mojemu przewodnikowi bardzo się spieszyło, więc tylko pobieżnie mogłem wertować pożółkłe już kartki.

Na koniec zaprowadził mnie jeszcze na chór. Wąskiemi drewnianemi schodami podążyliśmy ku górze.

— Organy te są tak stare jak świat — objaśnił mi, gdy szczęśliwie doszliśmy. I faktycznie, tak wyglądają a napozór człowiek z rozpaczą załamuje ręce, gdy pomyśli, że na takim gracie organista ma akompaniować i przygrywać przy mszy św. Pozory jednak często mylą. Choć organy te do niczego nie są podobne, posiadają jednak przepiękne brzmienie, którego napewno pozazdrościłyby im niejedne organy, które wprowadzają poprostu człowieka w niemy zachwyt. Większość piszczałek jest jeszcze z drzewa. Te piszczałki są nadzwyczajnym barometrem, bo zawsze jeśli ma być deszcz poczynają piszczeć. Narzekał organista, że wieża kościółka jest już dosyć licha i organy się bardzo niszczą, podczas dzwonienia, bo cały kościółek wstrząsa się pod uderzeniami dzwonów.

Wiedziałem więc już wszystko i zadowolony opuściłem ten prawdziwy przybytek krajoznawczy. Pokazał mi jeszcze na ostatek mój przewodnik klucze, któremi zamyka bramy świątyni, które wyglądem swoim wzbudziły we mnie p dziw.

Podziękowawszy za te cenne informacje „obaniały" wiedzą, jak zawsze nasz profesor języka greckiego powiadał, wracałem powolutku do domu.

U gospodarza znalazłem dwóch nowych przybyszów, którzy przyjechali tutaj aż z Łodzi. Jak się później okazało w owej szkole naprzeciw kościoła mieści się kolonja żeńska z Łodzi i owi dwaj panowie przyjechali do niej z wizytą.

Dowiedziawszy się, że od wczoraj jestem w Paczułtowicach i w dodatku bez towarzystwa zaprosili mnie, bym z nimi poszedł wieczorem do szkoły, boć sam w domu mógłbym się jeszcze zanudzić na śmierć. Skorzystałem skwapliwie z zaproszenia i muszę przyznać, że nigdy nie będę żałował, żem tam poszedł. Miałem możność zapoznać się z Łodziankami i po owym wieczorku stałem się już częstym gościem kolonji, spędzając każdą wolną chwilę w towarzystwie miłych obywatelek Łodzi.

(Dokończenie nastąpi)

NOWARA RUDOLF.

Stodoły ośmiokątne w okolicach Pszczyny.

Będąc na wakacjach w Pszczynie, urządziłem sobie kilka małych wycieczek krajoznawczych w okolicę. Chciałem mianowicie zbadać stodoły ośmiokątne, o których swego czasu pisał „Młody Krajoznawca Śląski", wspominając, że należą do bardzo dawnego typu budownictwa ludowego. Zachowały się one na Śląsku i podobno gdzieś na Kresach

Wschodnich, ale wszędzie należą do typów zanikających. To też z ciekawością czyniłem obserwacje i chcę się teraz niemi podzielić z Czytelniczkami i Czytelnikami naszego pisemka.

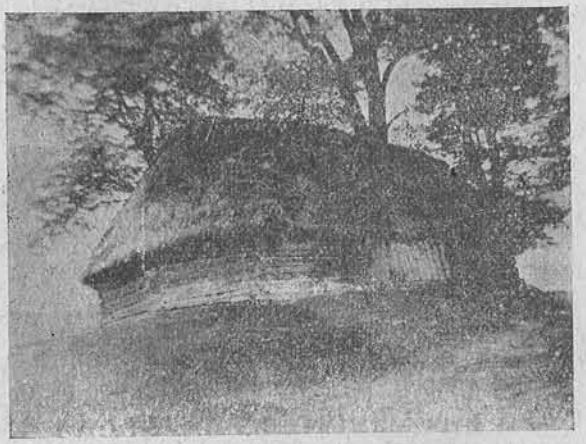

Zabytkowa stodoła ośmiokątna w Łące

Najwięcej takich stodół spotkałem w Studzienicach w pow. pszczyńskim, małej wiosce, która leży od Pszczyny w odległości 7 km. Otóż stodoły studzienickie mają przeciętnie długości około 8 m. a szerokości około 5 m. Dachy tych stodół są różnorodne. Widziałem tam bowiem stodoły o dachu spadzistym, bardzo wysokim, albo też o dachu więcej płaskim. Dachy są przeważnie kryte słomą, jednakże na jednej ze stodół ujrzałem dach ze słomy, z pod którego na jednej stronie wychodziły gonty. Z tego wnioskuję, że dawniej kryto stodoły ośmiokątne nie słomą lecz gontami, prawdopodobnie gonty musiały zgnić a dach pokryto później słomą.

Wiązania belek stodół w Studzienicach są takie, jakie widzimy na ryc. 1 i 2. Ryc. 1 przedstawia nam dolną część stodoły ośmiokątnej, na której są dopiero przymo-

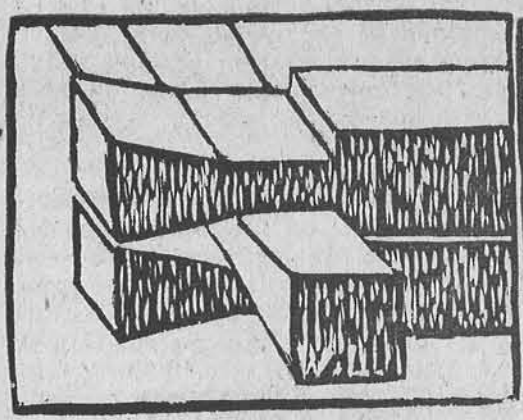

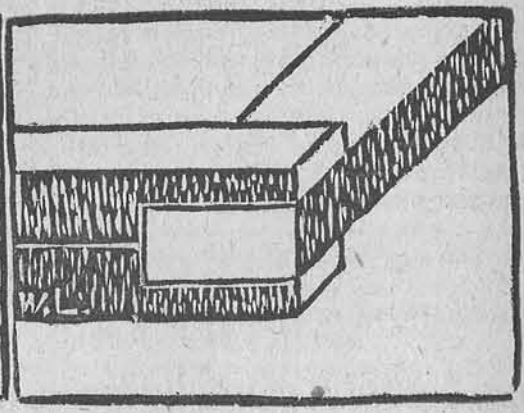

ryc. 1 Sposoby wiązania belek stodół ośmiokątnych. ryc. 2

cowane wiązania belek mniejszych, w sposób taki, jaki wskazuje nam ryc. 2.

Oprócz Studzienic widziałem jeszcze stodoły ośmiokątne w Łące, Piasku i Kobiorze. Stodoły te są przebudowane. Z dawnych stodół ośmiokątnych została tylko jedna połowa, bo druga jest przybudowana i ma kształt zwyczajnej czworokątnej stodoły. Wnętrze tych stodół nie zawiera nic nadzwyczajnego. Jest w nich taksamo gumno i sąsiek, ale bez wyższego piętra, ponieważ stodoła taka jest za niska. Zamożniejsi gospodarze mają teraz nowe stodoły, a stare ośmiokątne zamienili na szopy. Przechowuje się tam zwykle stare narzędzia rolnicze. Gospodarze nie ryzykują, aby przechowywać słomę lub siano w stodole krytej słomą, bo łatwo może przez nieostrożność powstać ogień. Sam byłem świadkiem, jak w okolicy Pszczyny paliła się ośmiokątna stodoła. Zanim przybyła straż pożarna, stodoła spaliła się doszczętnie. To też stare zabytkowe stodoły powinne być jaknajgorliwiej chronione przed zniszczeniem.

STROKOSZ TEODOR.

Praca w hucie Piłsudskiego dawniej a dziś.

Każdy z nas był już zapewnie w hucie i widział, jak pracują robotnicy w poszczególnych warsztatach. Sposób pracy przed kilkudziesięciu laty różnił się w dużej mierze od dzisiejszego, a to z powodu wielkiego postępu techniki, jaki nastąpił od tych czasów. Inną więc była praca hutnika dawniej, a inną jest dziś. W naszem mieście mamy jedną z największych hut w Polsce, Hutę Piłsudskiego, która została założona w roku 1799. Praca hutnika było początkowo bardzo uciążliwą, gdyż robotnik musiał pracować 12 godzin z dwiema tylko krótkiemi przerwami. W pracy zaś posługiwał się bardzo prymitywnemi jeszcze przyrządami. Najstarszym warsztatem była cynkownia, która została później zlikwidowaną. Kiedy wybudowano wielkie piece, które są najważniejszą częścią każdej huty, załoga zwiększała się, ponieważ musiano zbudować i walcownię oraz oddział maszynowy. Nieco później powstał oddział budowy mostów, kół do wagonów i lokomotyw. Robotnicy, zajęci przy budowie mostów, byli rozsyłani po całej Europie na miejsca, gdzie miał stanąć fabrykowany most, gdyż oni mogli jedynie takowy zmontować. Skoro huta została rozbudowana, pracowało w niej 5.000 robotników.

Przy wielkich piecach byli zajęci t. zw. pudlerze. Ich praca była najtrudniejsza i wymagała dosyć wielkiej sprawności i umiejętności technicznej Dzisiaj praca ta jest wykonywana przy piecach martinowskich. Wielkie piece opalano tak jak i dzisiaj koksem. Koks znów wyrabiano prymitywnym, lecz bardzo ciekawym sposobem. Sypano mianowicie węgiel w t. zw. mylyrze w ten sposób, że największe kawałki węgla układano na spodzie, a na sam wierzch zwany kopułą, sypano miał. Na kopule wyżłabiano rynnę, a u dołu kanaliki z cegieł, aby powietrze dochodziło do węgla. Gdy już był węgiel usypany i zapalony, zasypano całą tę kopułę drobnym popiołem. Tak zostawiono to przez tydzień. Po tygodniu robotnik przebijał żelaznym drążkiem dziury

do każdej z tych dziur wlewał po dwie konewki wody. W ten sposób wytwarzano koks. Z jednego takiego mylyrza wyprodukowano zwykle 70 do 80 ctnr. koksu. Praca przy takich mylyrzach była bardzo szkodliwą dla zdrowia, gdyż z koksującego węgla wydobywał się trujący gaz. Obecnie produkcja koksu odbywa się w specjalnych piecach, a gaz, który dawniej uchodził w powietrze, zostaje zużytkowany do opalania pieców martynowskich. Produkcja była też o wiele mniejsza, niż dzisiaj. Naprzykład przy wielkich piecach w czasie jednej szychty robiono zaledwie jeden odlew, gdy tymczasem dziś odlewy odbywają się co trzy godziny. Do pieców dowoziły kobiety na drewnianych wózkach surowce, koks i inne kruszce. Z biegiem czasu pracę kobiet zastąpiły kolejki wąskotorowe, a dziś już kolejki linowe. Wszelka praca była wykonywana rękami, co narażało często robotników na kalectwo, lub nawet na śmierć. Niemniej ciężką była praca w walcowniach, gdzie żelazo walcowano na szyny, blachę i drut. I te nie były jednak w takim stanie jak obecnie. Dzisiaj bowiem walcownia posiada trzy pary walców. Blok żelaza przechodzi przez walce bez zbytniego wysiłku. Przedtem natomiast była tylko jedna para walców. Praca rozpoczynała się rano o szóstej i trwała do godziny 6 wieczorem. Obecnie pracuje się tam tylko osiem godzin. Robotnicy byli wzywani do pracy dzwonkiem, gdyż nie znano jeszcze syren. Po skończonej zaś pracy hutnicy szli do domów w tych samych ubraniach, w których pracowali, osmoleni i brudni. Nie było bowiem przy hucie łaźni, gdzieby mogli się, oczyścić. Obecnie hutnicy mają łaźnie, szatnie, gdzie mogą się przebrać i wykąpać. Wynagrodzenie hutnika było dość niskie, nawet w porównaniu z dzisiejszemi kryzysowemi zarobkami. Taki stan trwał prawie że do wojny światowej. Gdy wybuchła wojna przeważna część robotników musiała stanąć w szeregach.

Na ich miejsce przyjmowano kobiety, a później posługiwano się jeńcami wojennymi, zwłaszcza Rosjanami. Po wojnie światowej, kiedy technika czyniła coraz to większe postępy, zwiększyła się też produkcja lecz z nią w parze szła redukcja robotników. Widzimy więc stąd, że rozwój techniki w hutach ma nietylko dodatnie, ale także i ujemne strony.

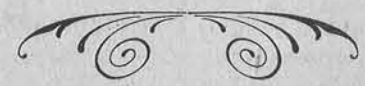

MATUSZCZYK ERYK

Sprawozdanie z kolonji Krajoznawczej w Jurgowie.

(Ciąg dalszy).

Otwiera się drzwi tak, że włożywszy od strony podwórza klucz do otworu stara się wsadzić jedno pióro klucza w jeden z zębów i posunąć przez obrócenie klucza w daną stronę klocek wewnątrz domu. Po obejrzeniu tego ciekawego zamku wchodzę do ciemnej sieni o wyboistej podłodze. W sieni tej stoi charakterystyczna drabina. Jest to bowiem kloc drew-

niany z wyciętemi wgłębieniami. Drabina ta prowadzi na strych, na którym jest pełno dymu, gdyż chata jest półdymna. Pomimo dymu zauważyłem jednak trzy „somsieki", w których leżało zboże. Po rozejrzeniu się w sieni wchodzę przez niskie drzwi do „izbecki". Okienka o wymiarach 22 cm razy 20 cm przepuszczają do wnętrza skąpe światło. Na ścianie tylnej prawie że pusto, wisi na niej tylko kilka sznurów, drutów i „szpulory" do zawijania lnu. Zato na przeciw nej stoi stół, a nad nim wisi jeden obrazek obok drugiego. Koło tego stołu stoi kilka „stolicków" i „ławecka", zaś pod ścianą, gdzie są okna widzę kilka wiader i „obuniek". Są to małe beczułki zatykane kołkiem, które służą do przywożenia mleka z odległych pastwisk. Mleko to już w beczułkach przed przywiezieniem do wsi kwaśnieje, z tego powodu słodkiego mleka dostać tutaj prawie że nie można. Dalej widać szereg powtykanych do szpar „skwyrloków" i łyżek drewnianych. Pod czwartą ścianą stoi biały wielki piec. Piec ten jest długi na 2,10 m, szeroki 1,60 m, a wysoki 1,90 m. Z jednej strony piec ten ma tak zwane „blachy" z otworami na garnce, na których to blachach się gotuje. Dym zaś uchodzi bądźto osobnym kominkiem, takim samym, jaki się spotyka w kuźniach, bądźto wnętrzem pieca, a dalej przez „rułę" do właściwego komina. Z drugiej strony piec ma przy samej podłodze otwór, w którym podczas zimy chowa się kury, kaczki i gęsi. Nad tym otworem jest drugi, tak zwany „piekarnik" do pieczenia chleba. W samej zaś górze zwisają dwie żerdzie, zwane „poleniami", które służą do suszenia drzewa. Z boku do pieca jest przymurowana szeroka ława. Oprócz wyżej wspomnianych przedmiotów jest jeszcze w „izbecce" łóżko, które różni się wielce od łóżek naszych. Niema w niem ani jednego gwóździa, gdyż było one budowane w tym czasie, kiedy gwóźdź był w tych stronach luksusem. Łoże to różni się jeszcze tem od innych, że ma zrobioną pod spodem szufladę wysuwalną, którą się w razie potrzeby wyciąga i w niej się śpi. Pozatem niema w izbie nic więcej. Należy tylko wspomnieć o suficie. Sufit bowiem jest zbudowany z desek, spoczywających na 3 „tragacykach", które znów spoczywają na „sosrembie". Na „sosrombie" tym jest wyrytych kilka ozdób i co następuje: „Vibudowal Maćek Binek dne 3. oktobra 1856. „Ten Słowacki napis należy wytłumaczyć tem, że za węgierskich czasów słowo pisane w języku polskim nie było w Jurgowie znane.

Tkactwo w Jurgowie

W Jurgowie przemysł wełniany jest dobrze rozwinięty. W każdej prawie chacie spotyka się warsztat tkacki. Dziwnem jest zaiste to, że w Jurgowie jest tylko 136 owiec, a jednak tkactwo jest tam silnie rozwinięte. Wytłumaczyć to można tem, że wełna jest sprowadzona częściowo z okolicznych wsi polskich, a częściowo z Czechosłowacji, gdzie zresztą pasą Jurgowianie swe owce. Prace nad samem strzyżeniem owiec, co jest początkiem tkactwa wełnianego odbywają się na wiosnę. Prace te według kolejności wyglądają następująco: Jeszcze przed samem strzyżeniem owiec odbywa się kąpanie tychże, Odbywa się ono w ten sposób, że przepędza się przez potok barana, który z bekiem rzuca się na drugi brzeg, za nim zaś, słysząc bek, podążają owce. Powtarza się to nawet kilkanaście razy. Po myciu następuje strzyżenie, które odbywa się za pomocą specjalnych nożyc. Po tej czynności przynosi się wełnę

do domu, gdzie się ją „grempluje", to znaczy czesze, gdyż dotychczas jest ona pokłębiona. „Gremplowanie" odbywa się w następujący sposób: Na „grempel„ (ławka, na której jest wzniesienie z deski, nabitej licznemi lecz krótkimi gwoździami), kładzie się pokłębioną wełnę, a „scotecką" (deska, tak samo jak i poprzednia, nabita gwoździami, lecz nie przymocowana do niczego), przeciąga się po „gremplu", ciągle zachowując jednakowy kierunek. Po kilkakrotnem pociągnięciu wełna jest ładnie uczesana, więc zdejmuje się ją z „grempla", kładąc przytem osobno wełnę burą i wełnę białą i tworzy się stos wełny już oczyszczonej. Później bierze się wełnę ze stosu i kładzie na „krężlu" (małym patyku), który jest na osi. Z „krężla" wyciąga się ją palcami i przymocowuje się na „talfie", (rodzaj koła wirującego), która przez ruch obrotowy skręca poszczególne włokna w cienką nitkę. Obok tej „talfy" jest jeszcze t. zw. „pila" (piła), mająca na celu równomierne nawijanie na „talfę" przędzy. Gdy „talfa" jest już pełna, przewija się z niej przędzę na kłębki. Czynność ta odbywa się ręcznie. Następną czynnością jest już tkanie, przy którem zapomocą „snuwadła" otrzymuje się osnowę, czyli nici, biegnące wzdłuż materjału. Następnie przy pomocy „spularza" nawija się przędzę na „cewkę" względnie „duję", którą zakłada się do „cutna", przebiegającego wszerz osnowy, tworząc t. zw. wątek. Samo tkanie po otrzymaniu osnowy i wątku następuje zapomocą warsztatów tkackich. Osnowy nawija się na dwa wały, przepuszczając je przez dwie ramy, które są ruchome i po każdem przerzuceniu „cutna", zmieniają swoje położenie, górna idzie nadół, a dolna do góry. Oprócz zmiany położenia ram przed przerzuceniem „cutna", „cewki" lub „duji", następuje jeszcze zbijanie sukna zapomocą „lady," po każdem przerzuceniu wątka. Tym sposobem z maszyny tkackiej wychodzi materjał gotowy, który stopniowo nawija się na specjalny wał, umieszczony u stóp tkacza.

Zwyczaje ludowe w Jurgowie.

a) Zwyczaje pogrzebowe.

Obrzędów i wierzeń związanych ze śmiercią i pogrzebem jest tutaj kilka. Jeżeli więc pies zawyje, jest to znakiem, że ktoś umarł. Wtedy też dzwoni się w dzwony kościelne, mówiąc, że jakie życie takie i skonanie. W domu zaś, w którym ktoś umarł, zatrzymuje się zegar, który jest tak długo zatrzymany, aż się zmarłego pogrzebie. Umarłego nie kładą do trumny ozdobnej, ale zbitej z prostych desek, zrobionej zwykle przez samego gospodarza. Po ubraniu i złożeniu trupa do trumny, wynosi się trumnę ze zwłokami gospodarza na boisko, z gospodynią zaś do kuchni, i teraz zakrywa się oczy zmarłego groszami (dawniej grajcarami), ażeby nieboszczyk czegoś, lub kogoś nie urzekł. Tutaj leży trumna przez 3 dni, odwiedzana przez licznych krewnych i znajomych, którzy pod wieczór śpiewają przy trumnie psalmy żałobne. Podczas tych trzech dni służba i domownicy nie śmią wogóle pracować, Po 3 dniach wynosi sie wreszcie zmarłego i to nogami naprzód, uderzając przy przechodzeniu przez próg 3 razy, niby w tym celu, ażeby dusza zmarłego nie mogła już teraz do tego domu wrócić. Po drodze zatrzymuje się jeszcze 3-krotnie z tego samego powodu. Na cmentarzu, po złożeniu już trumny do grobu, wszyscy obecni rzucają po garści ziemi i odchodzą. Dawniej istniał jeszcze zwyczaj, że samobójców palono. Dowodem tego jest następująca historja, która miała miejsce jeszcze niezbyt

dawno. Przed wojną światową wieś Rzepiska koło Jurgowa, nawiedziła straszna burza. Ludzie więc zaczęli mówić, że jej powodem musi być jakieś samobójstwo. Kiedy się więc dowiedzieli, że w Jurgowie powiesił się jakiś młodzieniec poszli nocą na cmentarz, wykopali go z grobu i spalili. Jurgowianie zaś, chociaż ten karygodny czyn widzieli, nieśmieli się sprzeciwić, albowiem i oni dawniej zwyczaj ten praktykowali. Należałoby też wspomnieć, że tutejsi mieskańcy nie mają wogóle wielkiego kultu dla zmarłych, dowodem czego są groby zaniedbane podobnie jak zresztą i cały cmentarz. (Ciąg dalszy nastąpi).

GILNERÓWNA GERTRUDA
kl. VIII publ. szkoły powsz. Nr. 2. wKnurowie.

Wycieczka do ruin zamku w Chudowie.

Był cichy i pogodny dzień czerwcowy. Słońce wychyliło się od wschodu i zaczęło zaglądać ciekawie przez bory i lasy roztaczając coraz czerwieńsze swe promienie, pokrywając ziemię wielkiemi złotemi plamami. Na wschodzie rozlewała się wielka zorza poranna, niby morze roztopionego złota i bursztynu. Cichy, ciepły ranek czerwcowy. Słychać szmer. Migają cienie. Pomału, ostróżnie idą dzieci na wycieczkę. Co krok są bliżej starego zamczyska chudowskiego. W każdym coraz głośniej bije serce, bo chociaż raz spojrzy na owe ruiny zamku, o których istnieje bardzo piękna i zajmująca legenda.

Kiedy nasza ukochana ziemia śląska pokryta była ciemnemi i gęstemi borami i lasami, panował na pięknie zbudowanym zamku chudowskim mocny i dumny rycerz. Z jednej wyprawy awanturniczej przywiózł do zamku małżonkę. Bóg jednak nie błogosławił im, cofając rękę swej Opatrzności. Rok tylko żyła jego małżonka. Zwłoki jej spoczęły na cmentarzu Wawrzyńca, oddalonym od zamku o milę. W każdej legendzie tkwi ziarnko prawdy. Wspomniany cmen-

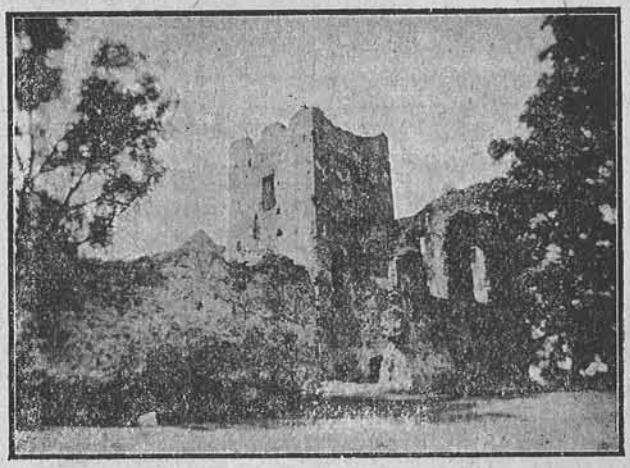

Ruiny zamku w Chudowie.

tarz położony jest koło kościoła św. Wawrzyńca w Orzeszu. Kościół ten zbudowany został w 1600 roku. W tym to czasie powstał również zamek w Chudowie. Zamczysko to leży wśród moczarów tak, że nie można go było szeroko rozbudować. W oczy nasze rzucają się grube, potężne mury, strzelnice, zarośnięte fosy i resztki mostu zwodzonego. O czemże to wszystko świadczy? Otóż zamek miał znaczenie obronne. Jakież więc niebezpieczeństwo mogło istnieć dla zamku? Kiedy wybuchła 30-letnia wojna, po kraju grasowali rycerze-rabusie. O współudział w tych rozbojach posądzono również Joachima Bujakowskiego, administratora Bujakowa i Knurowa. Zamek, który dawał przedtem schronienie uciśnionym, z biegiem czasu stał się siedzibą rycerzy- rabusiów. Gdy przejrzymy spis właścicieli zamku, wiele się nam wyjaśni. Pierwszym właścicielem zamczyska była znana rodzina Gierałtowickich, następnym był Jan ze Skały.

Kolejność właścicieli nie jest całkowicie jasna. Jedno tylko jest pewne, że żadna rodzina nie posiadała na długo zamku w Chudowie, dlatego też zamek był bardzo zaniedbany. Jeden tylko wyjątek notują kroniki. W roku 1717 władzę nad zamkiem powierzono rodzinie Foglarów, podnosząc ją do godności szlacheckiej, Rodzina ta bardzo dbała o zamek i była bardzo gościnną. Był to niejako złoty wiek dla zamku w Chudowie. Natomiast kiedy rodzina ta opuściła zamek. znikł jego blask i w zapomnienie poszedł jego wiek złoty. Właściele znowu często się zmieniali, nikt też nie troszczył się o odnowienie budowy, wskutek czego zamek z każdym rokiem podupadał. W r. 1836 osiadł na zamku pan von Bally. Chciał odnowić zamek lecz nie miał szczęśliwej ręki. Budował bez planu. Następnym właścicielem był hrabia Dürren. I on nie roztoczył należytej opieki nad zamkiem. W roku 1874 większą część zamku zniszczył pożar. Ostatni właściciel, Schaffgotsch pozostawił zamek w stanie zrujnowanym. Nawet z wieży pozostałej po pożarze kazał zerwać dach. Do obecnego stanu zniszczenia doprowadziła mury zamczyska raczej ręka ludzka niż szmat czasu.

Wycieczka dała nam moc silnych wrażeń. Nauczyliśmy się patrzeć na zabytki przeszłości z pewnym szacunkiem.

MORGAŁA NORBET

Podwórzowi śpiewacy.

Słońce rozpoczęło swoją codzienną podróż po niebie. Uśmiechało się słodko, budząc cały zaspany świat do życia. Nie wszyscy powitali je jednakowo. Najwięcej bodaj klął na nie bezrobotny Antek Więcek. Miał taki miły sen, a tu akurat słońce musiało mu przerwać tę jedyną jego przyjemność.

— Pieronie! — zaklął.

— Zaś klniesz? — ofuknęła go żona.

— A dyć. Prawiech mioł śnik, że jo śpiywoł we wielgim teatrze, a ludzie mi fest klaskali.

— Widzis go. Jemu się śni, że śpiywoł w teatrze, a tu dzieci nie mają co jeść.

— Pieronie! — zaklął znowu, tym razem jeszcze siarczyściej. — Trzy lata jo już bezroboty, codzień jom szukom, a tu nic. Już w takiej dziurze miyszkomy. — Zamyślił się. Może przypomniały mu się dawne dobre czasy, kiedy to miał skromne, lecz czyste i mi-

łe mieszkanie, głodu nie zaznawał, kiedy był szczęśliwy . . . Dzisiaj jest inaczej.

Żona, co już dawno była na nogach, zaczęła przygotywać mizerne śniadanie. Męża, jak inne żony, nie goniła do wstawania, bo pocóż. Pracy niema a w domu może chyba tylko zawadzać.

— To tak dalej iść nie może, — odezwał się dalej głos z głębi łożka.

— Cóż nie może iść dalej?

— Jeszcze się tak głupio pytej, A dyć wiysz, żech już trzy roki jest bezrobotny. A człowiek bez roboty, to tak, choćby był bez głowy. — A po chwili pocieszał się: — Dyć jom nie jest som bez roboty, W „zeitungach“ stoi, że to tak jest na całym świecie, nie ino na Śląsku Jo, jo, my robotniki muszymy najwięcy ciyrpieć.

Nastało milczenie. Żona jego już zobojętniała, nic ją już nie wzruszało. Trzy lata pełne trosk o chleb codzienny przemienia najbardziej uczuciowych ludzi w zobojętniałych i apatycznych.

— Wiys co? Jo jyno spróbuja śpiywać na placach. Dyć tak przynojmniej cosik zarobia. Żech już o tem prędzej nie myśloł. — Mówił to pod wpływem swego snu i po chwili już zaczął probować swego głosu, za który dostał we śnie tyle oklasków.

Żona nic nie rzekła . . .

— — — — — — — — —

Już od kilku godzin wałęsał się Antek po miejskich plantach. Myślał ciągle o swoim przyszłym zawodzie. Myśl nader dobra, ale sam nie może przecież śpiewać. „Kieby jo to jakoś gitara mioł” — rozważał głośno.

Nagle ktoś go popchnął. Ocknął się z zamyślenia.

— Nie widzis mie, Antek?

— A toś ty Froncek.!

A dyć nie wto inny, jyno jo. Tak łazisz sam po tych „anlagach”, a wyglondosz jakoś markotnie, ło czym ty tak medytujesz, żeś mie nie widzioł?

— Jo wiys, wiys co?

— Co?

— Joby chcioł po placach śpiywać, tobych przynojmniej trocha piendzy przyniósł babie.

— Ło pieronie! Teroz ich już tela łazi — a po chwili dodał: A dyć nie bydzies chyba som śpiywoł.

— No jo, joch już tyż ło tym myśloł. Ale pierona, musza cosik do dom przynieść — mówił stanowczem głosem.

— Ło czym wy to fansolicie? — odezwał się ktoś do nich. Obejrzeli się i zobaczyli, że przyszedł trzeci towarzysz niedoli. Nazywał się Zeflik, a chociaż taksamo długo był bez pracy, uśmiech nie znikał z jego twarzy, to też przybyciem swojem rozwiał smutną atmosferę, jaka panowała między Antkiem a Franckiem.

— Antek by chcioł po placach śpiywać — wyjaśnił mu Froncek.

— Hm, hm, to jest fajno robota. Zech jo ło tem downiej już myśloł. Antek mo piykny głos, aże frelicki bydom sie za nim oglondały.

— Skońc, pieronie — odparł gniewnym głosem Antek. — Dyć wiys, że mom baba.

— Widzis, taki młody i fajny karlus, o już „freicheit” stracił — żartował w dalszym ciągu niepoprawny Zeflik. — Ale nie chca cie już gorszyć.

— No, a co jest z tym śpiywaniem? — zapytał Froncek.

— Jo mom w doma gitara, coch jom, to kupiył za dobrych casów — ciągnął dalej Zeflik. — Śpiywać tyż śpiywom, aże mie roz farorz pochwolył. Dejcie renka, łod jutra bydymy śpiywać wszyscy razem.

— Jo tyż mom z wami śpiy-

wać? — zapytał trochę wystraszony Froncek.

— Tybyś z twojym głosem jyno ludzi straszył — zażartował znowu Zeflik.

Na to dictum musiał się roześmiać i dotychczas milczący Antek. Jednak na znak zgody podali sobie nawzajem ręce i ruszyli z miejsca. Twarze im się rozpogodziły i zapomnieli chwilowo o nędzy, która ich gniotła przez tak długi czas.

Po chwili przybyli pod jakiś dom.

— Zaś te „Ave Maria" grajom — odezwał się Antek, bo właśnie jacyś podwórzowi grajkowie zaczęli swój występ.

— Jo — wyjaśnił mu Zeflik — za „Ave Maria" ludzie nojwięcy dowajom.

— Ło pieronie, to my tyż bydymy musieli to grać? Adyć mie to już tu wyłazi — i Antek siągnął ręką do gardła.

Jak ty możesz to pedzieć, Antku — ganił go Zeflik. — Dyć „Ave Maria" to po polsku jest „Zdrowaś Maria".

— Jo wiym, ale to już za dużo grajom. Kaj spojrzys tam kożdy sie chwoli z tym „Ave Maria". A kieby to jeszcze fajnie zagrali . . . przerwał nagle, gdyż grajkowie grali, można rzec, bardzo pięknie. On zaś, mając dobry słuch muzyczny, zapomniał o swojej urazie do „Ave Maria" i całą duszą wsłuchał się w czarodziejskie tony muzyki. Subtelne tony płynęły ku górze i zdawało się, że wraz z melodją, cała natura chwali Rodzicielkę Zbawiciela świata. Wszystko ucichło, okna się pootwierały, zapełniając się głowami, a niektórym łzy zakręciły się w oczach. A gdy grajkowie umilkli, zerwała się burza oklasków i grad grosiwa spadł na nich, może dlatego, że w domu tym mieszkali prawie sami bezrobotni, a u tych ludzi współczucie jeszcze się nie wypleniło, bo Górnoślązak zachował do dziś swoje serce, mimo twardego losu, jaki go spotyka.

— Cekejcie, terozki zagrajom „O sole mio" — odezwał się po chwili jakoś ironicznie Antek.

— Zaś ci sie to nie podobało?— wtrącił się Froncek.

— Jo, ale kieby chcieli zagrać jakoś ślonsko rzec. Przeca my momy tyla fajnych śpiywków.

— Ale tego ci nigdy nie zagrajom — odrzekł rzewnym głosem Zeflik. — Jo jeszcze nigdy nie słyszoł, żeby grali ślonskie śpiywki. Ino grajom jakieś tanga i foxtroty.

Jakoś Antek się nie omylił, bo odezwały się pierwsze tony z „Sole mio". Wprawdzie zagrali to niemniej piękniej od poprzedniego „Ave Maria", ale Antek nie mógł tego słuchać i pociągnąwszy za sobą swych towarzyszy, ruszył dalej z tego podwórza; miny im znowu spochmurniały. Szli tak przez dłuższy czas w milczeniu. Aż wreszcie Froncek przerwał milczenie, mówiąc:

Wiycie co? Dyć wy możecie śpiywać śląskie śpiywki.

- Co godosz? ożywił się nagle Antek

— Wy możecie śpiywać nasze melodyje.

— A czemu godosz „wy", a nie „my"?

— Bo łon sie już czuje za kasjera — wyręczył w odpowiedzi Froncka Zeflik.

— Więc słuchejcie — mówił uroczystym głosem Antek. — My bydymy łod jutra śpiywali nasze fajne śląskie śpiywki, bo ło nich już nasi ludzie zapominajom coroz to bardziej. — Twarz jego się rozpromieniła. Przez to zdziała też coś dobrego dla ogółu Taki był już jego charakter. Pracować z pożytkiem dla drugich.

— — — — — — — — —

Antek, Froncek i Zeflik już od tygodnia chodzą po podwórzach i krzewią śląskie pieśni. Zdobyli sobie wielką popularność, a gdzie się

tylko pokazują, tam nazbiera się sporo ludzi, którzy czasem śpiewają też z nimi razem. Froncek zbiera dużo pieniędzy, które wieczorem rozdzielają pomiędzy siebie. Narazie powodzi im się dobrze. Antkowi przywrócił dawny humor, co wpływa bardzo na całe życie jego rodziny. Zeflik żartuje jeszcze bardziej, a Froncek sumiennie sprawia swój urząd kasjera.

— Może byda roz śpiywoł we wielgim teatrze — mawia często Antek, gdy przypomina mu się sen, który zmienił jego dotychczasowe życie.

Może będzie śpiewał. . .

(J.)

ŚLĄSK A POLSKA.

(ciąg dalszy)

W r. 1438 ofiarowali Husyci ponownie tron czeski młodocianemu Kazimierzowi Jagiellończykowi. Wojska polskie wysłane do Czech dla pozyskania korony dla królewicza Kazimierza, doznały w samych Czechach niepowodzeń, ale umocniły się na Śląsku, co mogło się stać podstawą odzyskania Śląska, zwłaszcza, że niebawem obydwaj synowie Jagiełły wkroczyli z dalszemi wojskami na Śląsk. I ta wyprawa jednak nie dała rezultatu, gdyż Polacy nie umieli wykorzystać tego, że między Śląskiem a resztą Królestwa czeskiego, znowu zaznaczyły się wybitne różnice. Ze strony polskiej bowiem zamiast włączyć Śląsk do Polski, prowadzono politykę, zmierzającą do tego, aby Śląsk uznał Kazimierza, jako króla czeskiego. Takie stanowisko nie mogło na Śląsku budzić sympatji, ponieważ Kazimierza na tron czeski wezwali Husyci. Następstwem tego kroku było utrwalenie się na Śląsku nowego króla czeskiego Albrechta, z rodziny Habsburgów. Ale nawet mimo tego i teraz sprawa Śląska nie przestała być aktualna i niebawem występuje znowu w rokowaniach między wdową po Albrechcie Elżbietą, a Władysławem Warneńczykiem. W rokowaniach tych Elżbieta godziła się na małżeństwo Władysława z jej córką, która jako posag otrzymać miała Śląsk. Wmieszanie się do tych spraw papieża unicestwiło te starania. Teraz Oleśnicki, który dla spraw Śląska wykazywał wielkie zrozumienie, nie mogąc się doczekać odzyskania całego Śląska, zapoczątkował akcję odzyskiwania przynajmniej drobnych jego części, przez wykupno za 6-tysięcy grzywien ks. siewierskiego od Władysława, księcia cieszyńskiego. Naśladował go Kazimierz Jagiellończyk, który w r. 1454 zajął Oświęcim i zmusiał tamtejszego księcia Jana do uznania się lennikiem Polski, a następnie wykupił księstwo oświęcimskie za 50 tysięcy grzywien.

Prawie równocześnie (1456) uznał zwierzchnictwo Polski Wacław, ks. zatorski, a jego synowie w kilkadziesiąt lat później odsprzedali księstwo zatorskie Janowi Olbrachtowi za sumę 80 tysięcy florenów. Tym sposobem odzyskano przynajmniej skrawki Śląska, a właściwie nie Śląka, ale części ziemi krakowskiej, które w drugiej połowie 12 wieku Kazimierz Sprawiedliwy odstąpił Plątonogiemu.

Bliskie było również odzyskanie księstwa cieszyńskiego, gdzie panował wówczas Bolesław II, który garnął się wówczas pod skrzydła Polski. Wojna 13-nasto - letnia z Krzyżakami, jaka właśnie wtedy wybuchła przerwała dalszą akcję polską, zmierzającą do skupienia przy Polsce dalszych ziem śląskich. Ta też wojna z Krzyżakami, a jeszcze więcej błędy dynastycznej polityki Kazimierza Jagiellończyka, były przyczyną, że nie wyzyskano tego momentu, gdy Śląsk nie chciał uznać królem husyty Jerzego z Podiebradu i całkiem wyraźnie myślał o oparciu się o Polskę.

Jakie były wówczas na Śląsku nastroje świadczy o tem fakt, że pokój toruński 1466r. był nader uroczyście obchodzony przez mieszkańców największego miasta śląskiego, Wrocławia. Gdyby to tak bliskie urzeczywistnienia odzyskanie Śląska nastąpiło, zniknąłby bez śladu ze Śląska nalot niemiecki, tak, jak zniknął później z wielu miast polskich. Zniemczenie bowiem Śląska w tym czasie nie było jeszcze zbyt wielkie, najlepszym tego dowodem jest chociażby to, że gdy w końcu 15 w. odczytywano po niemiecku wyrok śmierci wydany przez zjazd książąt na Mi-

kolaja II. ks. opolskiego, ten wyroku nie zrozumiał, gdyż nie znał zupełnie języka niemieckiego. Jeśli języka niemieckiego nie znał książę, nie mogli nim chyba powszechnie mówić jego poddani.

Śląskiem w owych czasach rządził właściwie papież Paweł II. za pośrednictwem swego legata, który proponował Kazimierzowi Jagiellończykowi wystąpienie przeciw Jerzemu z Podiebradu, za co przyrzekał Polsce w imieniu papieża Śląsk i Łużyce. Kazimierz jednak cały pochłonięty swoją, sprzeczną z interesami narodu polskiego, polityką dynastyczną, nie wyzyskał tej nadzwyczajnej wprost sposobności, gdyż cel odzyskania Śląska był dla niego mniej ważny niż zdobycie dla swojej rodziny następstwa po Jerzym na tronie czeskim.

Wskutek tego katolicy czescy, a w szczególności śląscy nie doczekawszy się ze strony polskiej poparcia poddali się królowi węgierskiemu Maciejowi Korwinowi, który w walce z Jerzym opanował Śląsk.

Ciąg dalszy nastąpi.

G. FICKÓWNA, gimn. żeńskie.

Górnictwo Tarnogórskie w 15 wieku.

W ziemi bytomskiej, gdzie jak wiadomo początki górnictwa sięgają wieków średnich, nastąpił na początku 15 w. upadek produkcji górniczej. Stąd zaczęła się ona przenosić zwolna w okolice Tarnowskich Gór, i już około roku 1526 była tam w pełnym rozkwicie. Z tego roku bowiem pochodzą dowody jego istnienia w dokumentach. Powstanie górnictwa jest oplecione różnemi legendami. Według jednej z nich, pasterz Rybka, który pasł swoje trzody, wygrzebał z ziemi kawałek błyszczącego kamienia, który się okazał litym kruszcem srebra. Zaczęto kopać i znaleziono dużą ilość rud. Natychmiast górnicy z okolic Bytomia przyszli na miejsce odkrytych skarbów i osiedlili się na terenach, obfitujących w minerały. Wieść o odkryciu bogatych pokładów górniczych nietylko rozchodzi się na Śląsku, a'e dociera nawet do dalekiej Frankonji, skąd ciągną Niemcy na Śląsk z całem mieniem, żonami i dziećmi. Powstaje nowa osada, dla której zapożyczają sobie koloniści i tubylcy nazwę od pobliskiej wsi Tarnowice, od której nazywają ją Tarnowskiemi Górami, czyli kopalniami, gdyż słowo „góry" oznaczało tyle co kopalnie. Obok świeżo osiadłej, obcej ludności osiedlali się górnicy polscy i ludność miejscowa, to też sporo czasu upłynęło zanim przyszło do zgody między nimi. Niezgoda wybuchała z różnych powodów. Górnicy frankońscy byli przyzwyczajeni do pracy w innych warunkach, w suchych utworach geologicznych.

To też najgorsze roboty w bagnach dostawali Polacy, a gdy przezwyciężyli trudności i przytotowali dostęp do kruszczów, wtedy dopiero Niemcy zabierali się do wydobywania tychże. Polacy nie dostawali akordowej pracy i byli stale krzywdzeni. Szczyt nieprzyjaźni przypada na lata 1533 i 1534. Wtedy wybuchnął wielki strajk górników polskich. Jest to chyba jeden z pierwszych strajków w historji na ziemiach polskich. Zakończył się ten strajk smutnie, gdyż tylko mała część strajkujących znalazła ponownie pracę w okolicy i w innych gwarectwach, a wielu spośród górników wtrącono do więzienia. Wtedy wybuchły rozruchy i górnicy urządzili jakby powstanie i siekierami i kilofami chcieli uwolnić kamratów, których ze strachu panowie wypuścili. Skutki tych zaburzeń były fatalne, gdyż prawie wszystkie urządzenia górnicze i huty zniszczono. Zwady między górnikami następowały zwykle w dni wypłat, a to dlatego, że górnicy polscy nie znali języka niemieckiego, urzędnicy zaś nie chcieli mówić po polsku z nimi. To też było jedną z przyczyn, z powodu których górnicy nie mogli w swoim ucisku znaleść prawa u władz. Z tego także powodu w górnictwie tarnogórskiem nigdy nie przyszło do prawdziwego uspokojenia, a nienawiść wyzyskiwanych do wyzyskiwaczy trwała stale. Mimo tego nie można zaprzeczyć, że margrabiowie, Jerzy i jego syn Jerzy Fryderyk, do których należały „Góry Tarnowskie", z wielkiem zainteresowaniem i gorliwością pracowali nad rozwojem górnictwa. Bodźca do pracy dodawały im nietylko zyski, ale także zainteresowanie alchemją. W latach 1530—1532 górnictwo jest w pełni swego rozwoju. Musi ono jednak ciągle walczyć z wodą, która utrudniała bardzo wydobywanie kruszców. Niebawem zaznacza się jednak powolny zastój, gdyż z właścicielami gruntów, szlachtą, niełatwo przychodzi do zgody i porozumienia. Z upadku podnosi górnictwo Jerzy Fryderyk, syn margrabiego Jerzego, który sprowadza konie do „kunsztów", tak że nastąpiło powolne podniesienie górnictwa, ale już w roku 1856 dżuma zmusiła wielu górników do opuszczenia miasta. Jednak w drugiej połowie 16 w. podnosi się górnictwo bardzo wysoko i przynosi wielkie zyski, tak że lata 1550-1582 są okresem wielkiej świetności górnictwa tarnogórskiego,

KĄCIK ROZRYWKOWY

Trafne rozwiązania zagadki z nr. 14-go nadesłali kol.:

Smolorz Józef,
Ogorzał Mieczysław,
Nowak Günter,
Siwy Józef
Paczula Tadeusz,
Gawor Witold,

ZAGADKA № 1.

„LOGOGRYF"

Ułożył B. Gawor.

Za rozwiązanie 10 punktów.

Znacznie wyrazów: 1. Niemiecka nazwa Trewiru. 2. Ptak. 3. Jedna z gwiazd. 4. Turnia nad Morskiem Okiem. 5. Chwast. 6. Polski taniec ludowy. 7. Przewódca „wojny kokoszej". 8. Słoń przedpotopowy. 9. Okłamywanie, udawanie 10. Stały termin w kalendarzu rzymskim. 11. Ojczyzna Odysseusza. 12. Inaczej dzida. 13. Gwałtowne przesilenie giełdowe. 14. Drewniane łyżwy śniegowe. 15. Reformator religijny w Niemczech. 16. Figura geometryczna. Rząd środkowy da rozwiązanie.

ZAGADKA Nr. 2.

REBUS.

ułożył M. Ogorzał.

Za rozwiązanie 15 punktów.